

# LOSY ZŁYTOPTAKÓW

Jerzy Jarzębski

—  
Wydział Polonistyki,  
Uniwersytet Jagielloński

„Zły to ptak, co własne gniazdo kala” – przeczytamy u Szekspira. Jan Błoński, który dopiero za kilkanaście lat – głównie jako autor artykułu *Biedni Polacy patrzą na getto* – pozna, czym jest w Polsce los „wroga publicznego nr 1”, już w roku 1974 ukuł zgrabną formułę „złytoptak”, określającą tych, co się w roli krytyków własnego środowiska lub odkrywców niewygodnych prawd narazili swojakom [123-127]. W „złytoptaku” wszelako łatwo w jeden wyraz połączyć elementy: w tej formule liczy się przede wszystkim jednoznaczność oceny społecznego „wyrzutka”. Dalej jednak zaczynają się schody: „własne”? „gniazdo”? „kala”? Można mieć uzasadnione wątpliwości co do „własności” gniazda, skoro państwowa propaganda stara się za wszelką cenę dowieść, że „złytoptak” ze swojakami nie ma nic wspólnego. Więc i gniazdo „cudze”, najlepiej – jak w przypadku Róży Thun – niemieckie<sup>1</sup>. Co wreszcie oznacza „kalanie”? Spytajmy Norwida, a otrzymamy odpowiedź w formie pytania:

„Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala, / Czy ten, co mówić o tym nie pozwala?” [92].

1 Róża Thun to, jak wiadomo, córka Jacka Woźniakowskiego, wybitnie zasłużonego w walce o wolną kulturę w Polsce prezesa „Znaku” i pierwszego prezydenta Krakowa po zmianach politycznych 1989 r. Ona sama była wieloletnią działaczką antykomunistycznej opozycji. Nie przeszkadza to dzisiejszej partyjno-państwowej prasie przeliterowywać pracowicie jej nazwiska po mężu – austriackim arystokracie: „Gräfin von Thun und Hohenstein”. W ten sposób mieszając narodowe i klasowe podstawy wykluczenia, propagandyści osiągają poziom historyjek o złych Austriakach i naszym (?) rozbójniku Rumcajsie. Znacznie niżej obsunął się były kolega Róży Thun z opozycji, Bronisław Wildstein, który w poświęconym jej wywiadzie użył wybitnie chamskich inwektyw z repertuaru seksistowskiego.

Może więc – podpierając się autorytetem nie tylko Norwida – zaryzykować twierdzenie, że obrońcy narodowej, zawodowej bądź innej wspólnoty odpierający za wszelką cenę wszelkie krytyczne oceny wobec czy to wspólnoty jako całości, czy jej poszczególnych przedstawicieli, nie mają po swojej stronie zbyt interesujących (moralnie lub intelektualnie) popleczników, i zamknąć sprawę? Obawiam się, że to by jednak było zbyt proste z uwagi na niezwykle zamęt logiczny, jaki powstał wokół tego pojęcia za sprawą posługujących się nim – niczym pałąk – polityków.

Kiedy „kalamy własne gniazdo”? Można to robić bez śmiertelnie poważnych motywacji, bardziej prowokując, niż piętnując. Takie ataki na świętości życia publicznego były specjalnością twórców awangardowych, którzy chętnie – jak na przykład futuryści – wołali: „czas zniszczyć pomniki przeszłości!”. Ale oczywiście mało kto traktował te karnawałowe w stylu wezwania poważnie. Inaczej jest w przypadku takich krytycznych uwag na temat własnego społeczeństwa, które motywowane są głęboką troską o jego stan moralny. Tak było ze słynnym esejem Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*, kwestionującym w wielu aspektach polskie dobre samopoczucie. Autorzy takich tekstów (do których zaliczyć można także wspomniany artykuł Błońskiego) wzbudzają często nienawiść współziomków, muszą więc się wykazać prawdziwą odwagą, ale w dalszej perspektywie zyskać mogą szacunek i podziw. To sprawia, że niekiedy na udział w takiej narodowej samokrytyce decyduje się spora liczba autorów, co

osłabia przykre dla nich społeczne konsekwencje. Sytuacja zmienia się gwałtownie, kiedy dążący do władzy politycy postanawiają z kwestii historycznych rozrachunków uczynić przedmiot przetargu.

Oczywiście życie w poczuciu winy nie jest niczym przyjemnym, szczególnie gdy w danej społeczności istnieje, tłumiona na co dzień, pamięć popełnionych kiedyś zbrodni. Politycy proponują więc rodakom odrzucenie „pedagogiki wstydu”, wiarę, że szlachetność „sprawiedliwych wśród narodów świata” opromienia i rozgrzesza cały polski naród, wreszcie powrót do stanu „bezgrzeszności” i związanego z tym samozadowolenia. Od tego momentu poszukiwanie historycznej prawdy staje się dla badaczy ryzykowne, jeśli tylko narusza owo poczucie bezgrzeszności, a ryzyko przybiera całkiem konkretną postać odpowiednich artykułów niesławnej ustawy o IPN. Bo też nie o prawdę tu chodzi: na poważne reperkusje narażają się ci, którzy osmielą się zaatakować siły polityczne i propagowane przez nie wartości, na których wspiera się gmach aktualnie sprawowanej władzy. Twórcy politycznego, obyczajowego, aksjologicznego porządku, w którym przyszło nam żyć, traktują to jako rodzaj niszczylińskiego szału, autodestrukcji lub zamachu na własną tożsamość. Kalający zdradza według nich wszystko to, co powinno być mu drogie: ojczyznę i jej kulturę, religię, obyczaj. Robić tak może tylko szaleniec lub osobnik przekupiony przez wrogów swego kraju, działających z zewnątrz, próbujących osłabić go, rozsadzić jego zwartość i odporność na ataki. Zauważmy: w tak skonstruowanym obrazie sytuacji nie ma w istocie wspólnej płaszczyzny pojęciowej umożliwiającej rzeczową dyskusję z myślącymi odmiennie od przywódców wspólnoty. Ci, którzy się z nimi nie zgadzają, są tu charakteryzowani nie jako ludzie w zasadzie uczciwi i pozytywnie w pracę dla dobra ojczyzny zaangażowani, nawet jeśli fałszywie bądź błędnie oceniają sytuację. Ma być inaczej i prościej: opozycja to po prostu „źli ludzie”, „zdraycy wspólnej narodowej sprawy”, osobnicy „gorszego sortu”, „kanalie”, czyli obywatele łączący w sobie piekielną złośliwość skierowaną przeciwko organom państwa (utożsamiającym się z narodem) i manifestującą się w „donosach” pisanych do zagranicznych, wrogich Polsce instytucji. Ilu tych zdrajców jest? Trudno określić, bo też liczebność opozycji to swego rodzaju enigma. Jest z nią tak, jak w tym znanym dowcipie z Marca '68: „Kto to jest jeden student?

– To podejrzany osobnik! – A trzech studentów?  
 – To demonstracja!! – A trzydzieści tysięcy studentów? – Garstka wichrzycieli...”. Tak samo jest z opozycjonistami: są realnym problemem, kiedy przeciw nim mobilizuje się wielotysięczne siły policyjne, ale w dyskursie rządzących to zarazem izolowana garstka obrońców „układu”, członkowie zawodowych „koterii” czy „korporacji”, okopani na swych lukratywnych posadach i nieskłonni oddać swych przywilejów w ręce „suwerena”, czyli „ludu” – bytu dość abstrakcyjnego o nieostrych granicach, przypominającego żywo „lud pracujący miast i wsi”, którego reprezentantami równie skwapliwie mianowali siebie samych funkcjonariusze partii komunistycznych typu sowieckiego.

Rządzący oczywiście zapewniają zawsze, że dopuszczają pod swym adresem „konstruktywną krytykę”, ale kryteria, wedle których odróżniają się konstruktywność od niekonstruktywności, zawsze są mgliste, natomiast kary za oskarżenia pod adresem swego narodu – całkiem realne. Co więcej, polityka w stosunku do krytyków wspólnoty przedstawia ich postępowanie nie tylko jako działanie złej wiary, ale też jako ciężką obrazę pod adresem konkretnych, dotkniętych tym niejako osobiście rodaków. Zarazem sposób, w jaki traktuje się narodową wspólnotę, świadczy o tym, że ideolodzy nacjonalizmu – formacji najbardziej na kalandrię wrażliwej – naród pojmują trochę na podobieństwo zbiorowego organizmu, który można skrzywdzić lub obrazić i który nosi w sobie – zawsze obolałą – pamięć zaznanych krzywd. Naród więc jest wprawdzie nieśmiertelny, ale płaci za to ogromną cenę, nie może bowiem ani zapomnieć przeżytych cierpień, ani ich wybaczyć sprawcy, który – tak jak on – również w nieskończoność żyje i (niestety po swojemu) pamięta, stając się w ten sposób naszym „odwiecznym wrogiem”. W tym świecie zbrodnie nie ulegają przedawnieniu ani wymazaniu z akt, a jeśli nawet uznamy, że odbite w lustrze świadomości narody są zbiorowiskami autonomicznych istot zdolnych do indywidualnej, krytycznej refleksji, to cały system społecznej edukacji zadba skutecznie o to, aby utrzymać w tych – słabych w pojedynkę – istotach rudymenty „myślenia zbiorowego”, przydatne w chwilach wielkich narodowych uniesień i psychoz.

W mechanizmie kalandrii najważniejsze jest więc bodaj stopienie dwóch perspektyw: osobistej i zbiorowej, co sprzyja wyłączeniu intelektu jako

kryterium oceny stanowisk w sporze. Kalający całkiem prywatnie „obraża uczucia” jednostek – uczucia patriotyczne, religijne czy jakiegokolwiek inne, ale też obraża jakieś głęboko zakorzenione przeświadczenia, jakie zbiorowość żywi na własny temat i na temat historii relacji wiążących ją z sąsiadami. Z tej dwoistości adresu wynika niepodatność kwestii kalania na racjonalne argumenty. Przeciwnicy ideowi nie są tu kimś, kogo się przekonuje, lecz kimś, kogo się wyklucza<sup>2</sup>. W ten sposób zawsze i z założenia są oni na zewnątrz wspólnoty (choćby byli w większości). Przegranie wyborów nie prowadzi tu bowiem do redefinicji pojęcia i charakterystyki narodu, ale najwyżej do eskalacji wiążącego wspólnotę poczucia zagrożenia, zawsze płynącego z zewnątrz i zawinionego przez Obcych. Paradoksalnie jednak Obcy wydają się niezbędni każdej władzy o autorytarnych zapędach.

Otóż spór, w którym zawieszają się szacunek dla rozumowych argumentów, w naturalny sposób przekształcać się musi w spór, w którym decydują autorytety. Przeciwny obywatel nie umie ocenić, kto ma rację w dyskusji o naruszeniach prawa. Musi na ekranie telewizora pojawić się profesor o niekwestionowanej renomie, który zajmowane w tej sprawie stanowisko przystępnie i przekonująco wyjaśni lub – częściej – po prostu swym nazwiskiem uwierzytelni. W takim starciu nazwisk opozycja zdecydowanie wygrywała, co było powodem, dla którego w Polsce na ogromną skalę rozpoczęła się akcja tak zwanej wymiany elit. Ale cóż znaczy „wymiana”? Rządzący mogą obsadzić kierownicze stanowiska swoimi ludźmi i tak się działo wielokrotnie w historii, jednak tu chodzi o zmianę niezwykle radykalną, zważywszy na ogromną przewagę opozycji w konkursie autorytetów. Wyrzuceni ze stanowisk intelektualisci mogą oczywiście odejść, ale na żądanie władzy nie znikną. Trzeba ich zatem skutecznie zdyskredytować, obrzucić błotem, jednym słowem – unicestwić. Tę operację – gdyby się powiodła – należałoby określić jako najbardziej kosztowną od czasów stalinowskich akcję kulturalnego samozniszczenia.

Owo samozniszczenie przylega tu ściśle do motywu „kalania”, a to ostatnie odsłania swe drugie, mniej oczekiwane oblicze.

Zakładam, że kultura danego społeczeństwa działa prawidłowo wtedy, gdy wytwarza hierarchię zjawisk i twórców, zarazem w państwach, w których rządzący próbują poszerzyć w sposób nieograniczony zakres swej władzy, następuje nieuchronnie konflikt kompetencji: rządzący usiłują przejąć kontrolę nad procesami wyłaniania elit i ustalania hierarchii, a kultura przed tym się broni. Konflikt jest tu rzeczywiście niemożliwy do uniknięcia, ponieważ wytwarzanie hierarchii w naturalnie funkcjonującej kulturze jest procesem samorzutnym, zależnym od wielu czynników, angażującym różne stanowiska i różne typy wrażliwości, z reguły kontrowersyjnym, kojarzącym jednocześnie mocną afirmację i negację, ale nieznośnym wszelkich sądów *ex cathedra* i narzucanych przez polityków rozstrzygnięć. Werdykty gremiów działających w sferze kultury są więc zrazu „miękkie”, z początku wydają się stroniczne i dowolne, dopiero po dłuższym czasie zostają zweryfikowane, to znaczy albo tracą ważność, albo nabierają trwałości i obrastają uzasadnieniami. Podobnie jest z autorytetami, które ustalają się często latami, ale raz ustanowione utrzymują swą ważność i niełatwo je zakwestionować, choć na pozór żadna instytucja ich nie zatwierdza i nie podtrzymuje. Stąd bierze się negatywna mitologia „salonu” jako swoistej zмовы ludzi z towarzystwa, narzucających swoje werdykty innym i niedopuszczających twórców spoza swego grona do sukcesów i konsekracji. Salonu nienawidzą w równej mierze literaccy outsiderzy i politycy, ci pierwsi czasami nie bez powodu, bo w istocie zjawisko kumoterstwa w nim istnieje, choć na dłuższą metę kariera oparta wyłącznie na znajomościach nie jest w nim możliwa. Ci drudzy nie znoszą salonu, bo jest on instytucją ustanawiającą własne reguły gry i własne hierarchie, broniącą się skutecznie przed dyktatem państwa i jego instytucji. Politycy próbują więc czasem tworzyć atrapy salonów, w których mogliby decydować sami, komu przyznają zaszczyt członkostwa w doborowym gremium, ale takie „podróbki” nie mają długiego żywota: zbyt są zależne od – często krótkich i przypadkowych – karier w sferze polityki. Te ostatnie salony pełnią na dłuższą metę drugorzędną funkcję, podczas gdy salony ludzi kultury, nawet gdy są, jak słynny stolik w kawiarni

2 Dlatego Jarosław Marek Rymkiewicz w wywiadzie udzielonym niedługo po wyborach prezydenckich wygranych przez Bronisława Komorowskiego mógł o jego zwolennikach powiedzieć, że właściwie nie są mu do niczego potrzebni, że wedle jego kryteriów w zasadzie nie należą do narodu polskiego. Oczywiście zawodowi politycy nie ośmieliliby się sformułować takiego poglądu *expressis verbis*, ale dzięki otwartości poety otrzymujemy ową myśl wyrażoną w pełni swej prostoty i radykalizmu.

„Czytelnik”, materialnie niepozorne, odgrywać mogą ogromną rolę i – śmiem twierdzić – są kulturze niezbędne jako jeden z jej najważniejszych demokratycznych organów.

Ale zaraz: salon jako instancja produkująca hierarchię, a zarazem będąca podporą demokracji? Nie ma tu, wbrew pozorom, sprzeczności, bo przecież normalnie funkcjonująca kultura nie wytwarza jednego salonu, ale ich wielość, a te salony bywają często w zasadniczym sporze. Ważne jest tylko, by wszystkie miały prawo istnienia, choćby podejmowały zasadniczą krytykę istniejącej w kraju władzy politycznej. Jeśli więc owa władza jako jedno ze swych głównych zadań ogłasza „wymianę elit”, udowadnia tym samym, że zamierza przejąć kontrolę nad wytwarzaniem i propagacją idei, a także nad kształtowaniem się autorytetów, a zatem – zniszczyć podstawy demokratycznego ustroju. Bo demokracja – aż wstyd powtarzać oczywistości – opiera się na swobodnej wymianie myśli, niezakłóconej ani policyjną ingerencją, ani podsypywaniem w niekontrolowany sposób społecznych pieniędzy jednej – prorządowej stronie we wszelkich sporach, co powoduje prędko jej demoralizację, a spór ideowy zmienia w beznadziejną walkę wolnych (także od wszelkich rządowych subwencji) intelektualistów z całą machiną partyjno-państwowej propagandy.

Ale my to przecież świetnie znamy: „rewolucyjne” zmiany w kulturze inicjowali wszak komuniści w Polsce powojennej i robili to pod hasłami zdumiewająco podobnymi do używanych dzisiaj, co niedawno udowodnił sztokholmski polonista, Janusz Korek, w obszernej i doskonale udokumentowanej pracy o języku współczesnej polskiej polityki. Wiem, co napisałem przed chwilą: „sztokholmski” to znaczy przecież „obcy”, „nie nasz”, więc zapewne służący antypolskiej propagandzie obowiązującej na zachodzie. Już czai się tu propagandysta w stylu Ryszarda Czarnieckiego, aby użyć ulubionego słowa „targowica”, choć ono jest tu zdumiewająco nie na miejscu: rzeczywista Targowica bronila przecie polskiej tradycji, religii i obyczaju przeciw jakobińskim nowinkarzom i niszczycielom narodowego dziedzictwa, którzy uchwalili inspirowaną z zachodu Konstytucję 3 Maja. Coś tu się dziwnie na odwrót malują polityczne sympatie. Bardzo podobnie mają się sprawy z „donosami” i „kalaniami”. Trzeba kompletnej naiwności lub złej wiary, by sądzić,

że politycy z zachodu nie pojmują sensu sejmowych uchwał zmieniających prawny ustrój Rzeczypospolitej i że potrzebni byli „zdraycy narodowej sprawy”, aby im „naskarżyć” na polski sejm, by zdecydowali się podjąć akcję przeciw destrukcji praworządności w Polsce. Jeśli ktoś skutecznie „kalał” własne gniazdo, to przedstawiciele środowisk politycznych wprowadzający uparcie zmiany likwidujące w tempie tornada wieloletni dorobek walki o demokrację w Polsce, wprowadzający do polskiej polityki język rysztokowego hejtu, a do swych dowodzeń – obrażające zdrowy rozsądek piramidy paralogizmów.

„Kalenie własnego gniazda” w sposób, w jaki to czynią krytycy polskich grzechów narodowych, jest czymś, co nie przynosi zwykle kalającemu żadnej przyjemności ani satysfakcji, przeciwnie – łączy się z rozmaitymi przykrościami. Świadczą o tym niezliczone przykłady, z których wybieram jeden – szczególnie wyrazisty – casus Czesława Miłosza. Był on bez wątpienia wzorem godnej najwyższego uznania obowiązkowości w staraniach na rzecz narodowej kultury i języka. „Prywatne obowiązki” – tytuł jednego z tomów jego esejów trafnie określa naturę jego zaangażowania w działalność służącą przechowaniu w pamięci i zrozumieniu innych wybitnych umysłów epoki – i samej epoki przede wszystkim. Nie było bynajmniej oczywiste to zaangażowanie. Mógł przecież, szczególnie po Noblu, utonąć w odmętach samouwielbienia i cudzych holdów w roli „chwały Narodu”. Istniało po temu zbiorowe przyzwolenie. Niejako po drugiej stronie z jego pracy nad historią literatury polskiej przeznaczoną dla amerykańskich studentów szydził Gombrowicz: „Że też ty chcesz tracić czas na głupstwa! Czy wyobrażasz sobie Nietzschego, który by antologii wydawał?” [*Ziemia* 26]. Przeglądając życiorys Miłosza, musimy dojść do wniosku, że nie tylko archiwistą polskiej kultury, ale też jej „złytoptakiem” bywał wręcz nałogowo. Do końca długiego życia nie tylko oddawał się „prywatnym obowiązkom”, lecz także wplątywał się od razu w dyskusje na bieżące tematy polityczne, a jednocześnie naraził się na ostrą krytykę po wydaniu książki demaskującej ciemne strony międzywojennego dwudziestolecia. I nic dziwnego: w swoim życiu klócił się z młodymi kolegami-poetami, z polityką Polski na kresach, z przywódcami powstania warszawskiego, z polskim nacjonalizmem, z polskim i sowieckim komunizmem, z całą nieledwie emigracją, znów

z nacjonalistami, z Herbertem i kręgiem jego akolitów... trudno wyliczyć z kim jeszcze.

To nie były klótnie pieniacza. Miłosz najczęściej spierał się o sprawę bardzo dużej wagi, decydujące, jego zdaniem, o losie społeczeństw, może też o losie ludzkości. Wynikało to z głębokiego przeżycia wojny jako świadectwa kryzysu człowieczeństwa. Jego „kalanie” to były nie tyle kalumnie rzucane na własny naród, ile diagnozy toczących go – być może śmiertelnych – chorób. Ile w tym było racji, szczególnie w sprawie zagrożenia nacjonalizmem, możemy sprawdzić dzisiaj. Miłosz więc nie ganił *ex cathedra*, ale oczekiwał poważnej dyskusji, zwłaszcza że sam był przykładem intelektualisty, który przejściowo ugiął się pod argumentacją zwolenników historycznych determinizmów. Adwersarze odpowiadali, a jakże! Od jednego z nich, polonijnego dziennikarza z Chicago, otrzymałem pocztą wielką kopertę z obszernym dossier „sprawy Miłosza”, w którym demaskowano go jako wroga literatury polskiej i w ogóle polskości, no i, rzecz jasna, Litwina, koryfeuszem sprawy narodowej mianując natomiast... Konrada Strzelewicza, pisarza, działacza powołanego przez władze stanu wojennego Związku Literatów Polskich. Moje osłupienie nie byłoby tak wielkie, gdyby nie pamięć felietonów, jakie Strzelewicz pisywał w stanie wojennym do krakowskich gazet. Losem „złytoptaka” nie są więc najczęściej dysputy z luminarzami, ale pokątna szarpanina z nasłanymi nań maniakami i nienawistnikami. Tak też było z Błońskim czy z Lipskim tudzież całym zastępem szlachetnych i nieposzlakowanych dawnych i współczesnych bojowników o wartości etyczne czy o historyczną prawdę.

Istnieją z pewnością szczególne polityczne sytuacje, w których figura „złytoptaka” staje się szczególnie pożądana, a bez niej społeczeństwo naraża się na ciężkie moralne schorzenia. Ale jednocześnie w takich właśnie sytuacjach zorganizowanym samoobronnie zbiorowościom łatwiej niż kiedykolwiek przychodzi wierzyć we własną bezgrzeszność i doskonałość. Dzieje się tak dlatego, że wtedy szczególnie łatwo oskarżać krytyków własnego narodu czy państwa. To ich piętnuje się publicznie jako zdrajców lub nierządnic, im stawia się najcięższe zarzuty. Obowiązuje w takich przypadkach zasada narodowej solidarności skierowanej zawsze przeciw tym, którzy rozbijają jedność wspólnoty. I nie ma takich autorytetów

(*vide*: Czesław Miłosz), których zbiorowość, lub jej część broniąca swego wizerunku, nie zdecydowałaby się poświęcić na ołtarzu patriotycznych obrzędów i w obronie dobrego samopoczucia.

Przed z górą 20 laty miałem okazję wysłuchać w wiedeńskim Instytucie Nauk o Człowieku wykładu Richarda Rorty'ego, który upatrywał pozytywnej ewolucji ludzkości w procesie ciągłego poszerzania tożsamości jednostek. Ludzie, zdaniem filozofa, mieli nieustannie ewoluować, utożsamiając się z początku z plemiennymi wspólnotami, następnie z coraz obszerniejszymi grupami – etnicznymi, narodowymi, rasowymi, religijnymi, kontynentalnymi, by w końcu zyskać tożsamość wiążącą ich z perspektywą ogólnoludzką lub nawet wspólnotą istot żyjących na naszej planecie.

Słuchając tej pięknej historii, pomyślałem z niejaką melancholią, że na Ziemi zachodzi równocześnie proces odwrotny: że mianowicie rodzą się nieustannie na nowo małe grupki ludzi o tożsamości co najwyżej plemiennej, a ich członkowie utożsamiają się z mieszkańcami podwórka wśród blokowisk lub kibiców jakiejś drużyny, których tożsamość buduje się nie na uczuciach tolerancji i akceptacji, lecz na samouwielbieniu i na nienawiści do Innego. A Innym może być człowiek odmiennej religii, kultury, języka, może nim być uchodźca, domniemany terrorysta czy w końcu – zawsze niesprawiedliwy – krytyk wywodzący się z grona swojaków, zdradziecki „złytoptak” kalający swe gniazdo. Suma takich nienawiści do Obcych potrafi zagłuszyć na pewien czas negatywne emocje wytwarzane w małych, plemiennych konfliktach i spotęgować się w postaci narodowej ksenofobii, mogącej rodzić wojny i masową śmierć.

Mechanizmy działające w podobnych sytuacjach są doskonale znane, niczego wręcz nie da się tu wymyślić. Wszystko przewidziała bądź zrealizowała już dawno naukowa refleksja, powieściowe narracje i, tacy jak Orwell, klasycy antyutopii XX wieku. Aż dziw zatem, że obywatele państw, w których buduje się kolejne gmachy autorytarnej władzy i zarazem pomniki samouwielbienia, dają się na to nabrać. Może więc cała nadzieja w „złytoptakach”? Trudno im jednak zazdrościć nieustannej szarpaniny z trollami i innymi producentami hejtu. Paradoks z „kalaniami” związany ujął zwięźle i pięknie Piotr Śliwiński z okazji wręczenia Annie Bikont Poznańskiej Nagrody Literackiej:

„Dążąc do wykluczenia z historii polskiego zła, tracimy prawo do polskiego dobra. By uniknąć groteskowego zdziecinnienia, chcąc pokazać dojrzałość i wiarygodną siłę, trzeba mówić sobie i innym najbardziej nieprzyjemną prawdę. Gotowość do odczucia wstydu za niektóre strony narodowej przeszłości jest bodaj testem patriotyzmu i znakiem przyzwoitości. W innym wypadku – jak ostatnio – drepczemy w miejscu, niepomni lekcji romantyków, Wyspiańskiego, Brzozowskiego,

Żeromskiego, Gombrowicza, Miłosza, Różewicza, Lipskiego, Błońskiego, tych wrażliwych sumień, bez których nasze sumienie, sycone kompleksami wielkości, rojeniami o zbawczym posłannictwie, psychotyczne i drażliwe, zaczyna działać jak pałka, którą wygrażamy światu, co rusz objając samych siebie” [1].

Trudno byłoby mi ideę, która także i mnie tutaj przyświecała, wyrazić prościej i celniej.

---

#### ■ LISTA PRAC CYTOWANYCH

Błoński, Jan. „Prawdziwa szkoła krytyk się nie boi (II): głos zlytoptaka”. *Teksty*, vol. 15, nr 3, 1974, pp. 123-127.

Lipski, Jan Józef. *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy: uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków*. Otwarta Rzeczpospolita, 2008.

Miłosz, Czesław. „Prywatne obowiązki wobec polskiej literatury”. *Prywatne obowiązki*, Wydawnictwo Literackie, 2001, pp. 95-135.

---. *Ziemia Ulro*. Instytut Literacki, 1977.

Norwid, Cyprian Kamil. *Dziela. Tom V*. Spółka Wydawnicza „Parnas Polski”, 1934.

Szekspir, William. *Jak wam się podoba*. Translated by Stanisław Barańczak, Wydawnictwo „W drodze”, 1993.

Śliwiński, Piotr. „Nagroda i wdzięczność”. *Gazeta Wyborcza*, 23 maja 2018, dodatek „Poznańska Nagroda Literacka”.

---

#### ■ ABSTRACT

### THE ILL-BIRDS

Jerzy Jarzębski

An “ill-bird”, the name proposed by Jan Błoński, helps encapsulate the attitude of the right-wing and nationalist segments of the society towards the people condemning the actions of their compatriots before Others. The author strives to characterize the logical fallacies inherent to nationalist thinking about the guilt of those who managed to believe in their own impeccability. He

also points to the socially harmful therapies proposed by nationalists who want to treat the society’s condition by negating the crimes committed by that society. This involves a so-called replacement of the elites, disparaging authority figures and fighting with independent cultural institutions that support democracy, particularly, the institution of the salon.

KEYWORDS: nationalism, crimes, criticism, authority figures, elite, salon.